

Śmierć wielu miłośników gołębi, jednego policjanta i nieznanej liczby gołębi

Katowice, sobota, 28 stycznia 2006, godz. 17:15, -15°C

*powiadają niektórzy
że gołębie usłyszały tchnienie śmierci
na krótko zanim z hukiem spadła*

na to miejsce

*ale może to załzązek legendy
i odgłos miażdżonej materii
a śmierć przyszła bezszelestnie*

*

napisane w Krakowie, w nocy z 28 na 29 stycznia 2006

*

Kraków, środa, 1 lutego 2006, godzina 11.19, trzeci dzień po sobocie, 28 stycznia. Ponury czas żałoby i poczucia bezsilności, współczucia dla ofiar i ich bliskich i konieczności powrotu do zwykłego codziennego życia z jego zwykłymi radościami i troskami. Czas wstrząsu, szoku, łez, czas pierwszych pogrzebów i ostatnich poszukiwań wśród rumowiska hali, gdzie odbywała się tragicznie przerwana wystawa gołębi pocztowych (tam jeszcze mogą być ciała ofiar!). Czas gorączkowego odśnieżania budynków o płaskich dachach jak Polska długa i szeroka. Szkół, hal sportowych, supermarketów... I czas na śledztwo, szukanie i ukaranie winnych.

„Katastrofie można było zapobiec”, pisze prasa, mówi telewizja, wierzą ludzie. Ale czy na pewno? Czy katastrofie, która się wydarzyła, czyli jest faktem w czasie przeszłym dokonany, można było zapobiec? Zapewne! Teoretycznie tak. Ale tylko teoretycznie. Bo praktycznie - nie! Jeżeli wszystkie złowrogie czynniki na to się złożyły, że była, to znaczy, że nie można jej było zapobiec. Na tym polega tragizm takich katastrof, wszelkich katastrof, tragizm ludzkiego życia. Jasne, długo można by rozważać, że gdyby o milimetr, o włos, o sekundę, a może nawet o ułamek sekundy... ale bezwzględna nieubłaganość takich wydarzeń polega właśnie na tym, że o milimetr, o włos, o sekundę kogoś, gdzieś, kiedyś spotyka nieszczęście, kalectwo, śmierć. I tego nie da się odwrócić. I temu teraz zapobiec się nie dało, a więc widocznie nie było można.

Ale przecież nie należy pchać się tam, gdzie jest niebezpiecznie, gdzie może spotkać nas tragedia. Nie należy skakać na główkę do półmetrowej wody! Tak, to prawda! I prawie nikt przy zdrowych zmysłach, z odrobiną wyobraźni, tego nie robi. A jeśli robi, to mógł nie robić. Ale czy można nie wsiąść do samochodu, do pociągu, samolotu, czy można nie wejść do zwyczajnego sklepu, nie pójść na zwyczajny basen, nie wybrać się z rodziną na wystawę gołębi? Przecież nawet jeśli wiemy, że wypadki chodzą po ludziach, jeździmy samochodami, latamy samolotami, wchodzimy do różnych pomieszczeń, wychodzimy na ulicę, choć i na ulicy może nam spaść cegła na głowę, nawet jeśli prawdopodobieństwo jest tak niewielkie, że wcale nie bierzemy tego pod uwagę. Równie nieprawdopodobnym wydaje się nam, że spadnie nam cały dach na głowę w miejscu tak odległym od takich myśli, jak wystawa gołębi, miejscu pełnym ludzkich, dziecięcych głosów, śmiechu, światła, muzyki, ptaków będących jak na ironię symbolem niewinności i pokoju. Teraz już wiemy, że to jest prawdopodobne.

Ale dopiero teraz, po fakcie, kiedy oplakujemy ofiary. Dopiero teraz ogarnia nas złość, bo można było temu

zapobiec, bo są wśród nas ludzie, którzy ponoszą za to odpowiedzialność. Przecież! Jak mogli o tym nie pomyśleć?! Jak mogli do tego dopuścić?! Ano, mogli. Bo mylić się, jest sprawą ludzką! Na pewno nikt, ale to nikt nie może sądzić, że organizatorzy zrobili to ze złej woli, że nie dbali o życie ludzkie! W ich obronie zamierzam wystąpić. Bo – choć nie ma wątpliwości, co do tego, że duży śnieg, że słaba konstrukcja, że zamknięte wyjścia awaryjne – to jednak ci ludzie też są ofiarami tej katastrofy. Być może też ofiarami chęci zysku, lekkomyślności, braku wyobraźni, ale – teraz – ofiarami sobotniej tragedii. Gdy w mediach zaczęto zdawać relację na gorąco, co tam się dzieje, a z godziny na godzinę rosła liczba rannych i zabitych, zaraz o nich pomyślałam. Boże, jak oni się teraz muszą czuć!? Ci wszyscy organizatorzy, projektanci, konstruktorzy...? Coraz bardziej winni, coraz bardziej przerażeni, coraz bardziej samotni? Media podały właśnie, że niejaki Jacek J., prawdopodobnie jeden z odpowiedzialnych za konstrukcję dachu tej nieszczęsnej hali, już w poniedziałek próbował popełnić samobójstwo. Do wiadomości publicznej podano to dopiero teraz. Żona zgłosiła, że nie wrócił do domu. Znalaziono go w pokoju hotelowym w Opolu z podciętymi żyłami. Napisał list pożegnalny. Odratowano go, ale co to dla niego znaczy? Że jak długo będzie żył, tak długo będzie żył w strasznym poczuciu winy. Podobnie jak cała reszta, na której ciąży odpowiedzialność za tę tragedię. Wyobrażam sobie rozpacz rodzin ofiar, podobnie jak cała Polska, i nie tylko Polska, bardzo im współczuję, ale wyobrażam też sobie rozpacz z powodu niemożności odwrócenia nieszczęścia tych wszystkich, którzy teraz siedzą gdzieś i słuchają ze zgrozą tragicznego bilansu ich niedopatrzeń. Zaszczuci.

Oni też potrzebowaliby pomocy psychologów. Ich też z całą pewnością przerasta cała ta sytuacja. Im też zważyło się na głowy niebo. Im też zaważył się świat. Nie zginęli, ale jeśli mają choć odrobinę ludzkich uczuć, a niby dlaczego w to wątpić?, będą codziennie, do końca życia, ginąć razem z tymi, którzy z ich winy stracili życie czy choćby tylko zdrowie. I z ich bliskimi. Uważam, że – niezależnie od tego, co na ten temat powie prawo – należy im się wsparcie, zrozumienie ich nie do pozazdroszczenia losu. Bo gdyby zapytać adwokata diabła? Cała Polska zrzuca śnieg z dachów po katastrofie na Śląsku? Z ilu dachów? Setek, tysięcy? A zatem w tysiącu różnych miejsc śnieg mógłby się okazać za ciężki a konstrukcja za krucha!? A zatem nie tylko oni, ale cała armia „odpowiedzialnych” mogła się znaleźć w podobnie beznadziejnym położeniu, jak ci od hali w Katowicach? A my wszyscy, cała reszta Polski, którzy NIE są odpowiedzialni za śnieg na dachach, też, bo skąd mogą wiedzieć, jakby się zachowali w podobnej sytuacji? Ostrzeżeń było wystarczająco dużo! W Niemczech, Rosji, Czechach, w samej Polsce także. A przecież wtedy nie widać było na dachach ludzi gorączkowo zrzucających śnieg. Dopiero po Katowicach/Chorzowie. Dopiero PO tym, jak i Polska ma swoją „strefę zero” strasznego wydarzenia.

Nie piszę tego po to, żeby obciążać kogokolwiek dodatkowym poczuciem winy, a już najmniej siebie samą (to ludzkie), ale po to, żeby powiedzieć, że nam ludziom, wielokrotnie i w wielu sytuacjach nie starcza wyobraźni. Po prostu. Tak jesteśmy skonstruowani. I całe szczęście. Musimy się nie bać! I tylko trochę bać! Inaczej strach by nas paraliżował i nie bylibyśmy w stanie żyć. Pewnie, najpóźniej po tragicznym zawaleniu się dachu w niemieckim Bad Reichenhall (piętnaście ofiar, w tym dwanaścioro dzieci) odpowiedzialni powinni byli rzucić się jak jeden mąż do odśnieżania dachów. Dlaczego tego nie zrobili? Dlaczego tego nie zrobiliśmy? Bo śmierć innych, zwłaszcza śmierć gdzieś daleko, nie w naszym kraju, jest abstrakcją. To prawda, im więcej ofiar naraz, tym mniej ich śmierć jest abstrakcyjna, ale im dalej od nas, tym więcej potrzeba ofiar, by nas w poruszyć. No, trudno, tak już jest. To jest może nasza, ludzka, ułomność, małość, ale to jest też tarcza ochronna, siła. Nie da się żyć w ciągłym strachu. „Memento mori” odzywa się w nas, na całe szczęście, tylko czasami. Na przykład teraz. Nie jesteśmy nieśmiertelni. A śmierć jest nieprzewidywalna. Jeżeli się o nią otrzemy, wstrząsa nami, ale tylko wtedy, zwykle żyjemy tak, jakbyśmy mieli żyć zawsze. Śmierć jest dla nas abstrakcyjna.

Prymas Józef Glemp mówi o „ostrzeżeniu Boga” (GW z poniedziałku), Tomasz Głogowski, dziekan Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach, mówi, że „mógł wystarczyć powiew wiatru” (też poniedziałkowa Wyborcza), Piotr Fałęcki, projektant konstrukcji hal stalowych, mówi, że „ponad 30 cm śniegu” to już jest granica wytrzymałości dla dachów hal (na katowickiej hali było, jak wiadomo, ok. 50 cm) i że rozesłał tę informację faksem do właścicieli i administratorów zagrożonych obiektów 4 stycznia, Gazeta Wyborcza ogłosiła to ostrzeżenie 31 stycznia, ewidentnie *a posteriori*. Czy zatem prymas Józef Glemp jest współwinny tragedii gołębiarzy, bo za późno rozpoznał znak od Boga? Mógł przecież rozpoznać już po tragedii w Niemczech, albo po zawaleniu się dachu marketu w Polsce, na szczęście w porze, kiedy nie było w nim ludzi? Czy winne są media, że

nie roztrąbiły wypowiedzi eksperta od hal? Nie zmieniły programów, nie wstrzymały reklam? Nie pokazywały, co może się stać? Nie! Mylić się i uczyć się na błędach jest rzeczą ludzką! To nie „*Polak mądry po szkodzie*”, to „*człowiek*”.

Konstruktorzy samolotów opowiadają, z jak nadludzką nieomal dokładnością starają się poznać przyczyny katastrof samolotowych, choć jest to okropne zajęcie, żeby w następnych projektach samolotów wyeliminować kolejne rozpoznane błędy konstrukcyjne. I tym sposobem poprawić bezpieczeństwo lotów. Ile ofiar pochłonęły te nauki? A ile jeszcze pochłoną? Olbrzymie budynki przeznaczone na hale wystawowe, na sklepy, na pływalnie i lodowiska są w naszych czasach wszędzie. Ich konstruktorzy mają do uwzględnienia mnóstwo różnych parametrów. Ich użytkownicy najczęściej o wielu sprawach w ogóle nie mają pojęcia. Nie myślą też o śniegu na dachach. Organizatorzy powinni myśleć, ale muszą też myśleć o kosztach. Podobno odśnieżenie hali katowickiej kosztowałoby ok. 40 tysięcy złotych. Sumę tę trzeba by rozłożyć na opłaty stanowisk gołębiarzy. Także na bilety wstępu, jeżeli były. Czy prawo by na to pozwoliło? Czy dzierżawcy miejsc zgodnie zapłaciliby wymaganą sumę? Czy nie psioczyliby na rosnące z roku na rok ceny? Na „pazerność” organizatorów?

Jasne, *post factum* nie ma takiej ceny, której byśmy wszyscy, cała Polska, nie zapłacili, żeby wrócić życie tym wszystkim, którzy zginęli, bo cóż warte są pieniądze naprzeciw ludzkiego życia? Ale, niestety, żadne pieniądze nie wrócą życia umarłym. Więc nie pozostaje nam nic innego, jak pogrzebać i opłakać ofiary, i na przyszłość nie dopuścić do podobnej tragedii. Ale, uderzmy się w piersi, czy winni, to tylko ci, na których wskazujemy? Czy cała Polska miała poodśnieżane dachy i tylko ten jeden był karygodnie zaniedbany? Czy my, których dachy szczęśliwie nie obchodzą, bylibyśmy niewinni na miejscu tamtych? Czy aby przypadkiem nie zaniedbujemy sobie beztrąsko czegoś innego, co może nie tak tragicznie, ale jednak bardzo źle się może skończyć? Czy jeździmy dość ostrożnie samochodami? Czy przechodzimy ostrożnie przez ulicę? Czy nie rzucamy skórki od banana pod nogi bliźniemu, na której może się paskudnie poślizgnąć? Czy nie rzucamy kamieniem w innych? Proponuję uderzyć się w pierś!

I jeszcze jedno, nasze dzieci. Nie sposób uchronić ich od wiadomości, które płyną zewsząd, zresztą czy należy? A dzieci osierocone w sobotni wieczór? Dzieci miłośników gołębi? Im musi się powiedzieć, że ktoś z ich najbliższego otoczenia nagle przestał być. Co im mówić, pytają bezradni dorośli? Że dusze ich najbliższych poleciały do nieba jak lecą do nieba gołębie? Że mama, tato, brat będzie na nie czekał tam, u Bozi? Nie zgadzam się z radą pani, gościa dzisiejszej „Kawy czy herbaty” w telewizji, żeby mówić dzieciom, że mama odeszła do innego świata, bo tego nie wiemy, nie ma takiej pewności. Możemy mówić, że ludzie wierzą w zaświaty, w istnienie nieba, miejsca dusz zmarłych, gdzie wszyscy się kiedyś spotkamy, ale tak naprawdę nie wiemy, czy tak jest, wierzymy tylko. Modlimy się, żeby tak było. Mówmy, że są rzeczy, których nie rozumiemy, nawet jeśli już nie jesteśmy dziećmi. Że do takich rzeczy należy śmierć. Śmierć jest tajemnicą, misterium. Nie umiemy sobie wyjaśnić ani tego, dlaczego niektórych spotyka przedwcześnie, tragicznie, nagle, ani dlaczego umieramy w ogóle. Nie wiemy też, co jest po śmierci, a duże jest prawdopodobieństwo, że nic. Wbrew pozorom właśnie dzieci to rozumieją lepiej, niż zapewnienia dorosłych, że wszystko wiedzą. Dla dziecka słowo „tajemnica” jest wyjaśnieniem, które dziecko rozumie często nawet o wiele lepiej niż niejeden dorosły. I akceptuje. Okłamywania nie akceptuje. Dzieci też muszą przejść na swój dziecienny ale autentyczny sposób przez wspólny wszystkim ponury czas żałoby i poczucia bezsilności, by powoli wrócić do zwykłego codziennego życia z jego zwykłymi radościami i troskami.

PS. We wczorajszej „Debacie” Kamila Durczoka padło stwierdzenie, że Polacy bardziej słyną z solidarności niż z solidności. Przyznać trzeba, że to efektowne przeciwstawienie. I pewnie jest coś na rzeczy. Ale gdyby mu się przyjrzeć dokładniej? Taka na przykład Szwajcaria? Może nie zasłynęła „Solidarnością”, nie słynie solidnością, może, ale bez wątplenia bryluje w solidności. A jednak i tam zdarzają się tragiczne wypadki podobne do tego w Katowicach. Gdzieś w latach 90. zawalił się tam dach publicznej pływalni. Były ofiary. Jak to na pływalni, głównie dzieci. Ale jak to było możliwe? Szwajcaria nie ma powodu oszczędzać na materiałach, wykonanie też zazwyczaj bywa nadzwyczaj solidne, kontrole nieprzekupne? Ekspertyza wykazała, że żelbetonowa konstrukcja dachu, zwykle bardzo wytrzymała, nie jest odpowiednim materiałem dla budynku przeznaczonego na basen, gdzie żeliwne pręty zatopione w betonie i tak poddawane są działaniu pary wodnej, na basenie siłą faktu - nieustannie. Korodują. I w końcu puściły. Czy byli jacyś imienni winni, tego nie pamiętam, ale na pewno było winne i to, że

człowiek nie jest nieomylny i nie wszystko umie przewidzieć. Dowiaduje się o tym po niewczasie.